

Paweł Głowacki – „Patrzac przez okno dużej sceny”

Kraków nr 1/01-18, 10 stycznia 2018

link: <https://e-teatr.pl/patrzac-przez-okno-duzej-sceny-a248513>

Drobny żart sceniczny w Starym Teatrze, w teatrze Barakah cztery drobne migawki z życia byle jakiego - a w każdym z tych miejsc, w każdym z tych seansów, podobny rodzaj melancholii dyskretniej, cierpkiej i w ostatecznym rachunku uśmiechniętej. O "Kształcie techniki" i jednoaktówkach Janusza Głowackiego pisze Paweł Głowacki w miesięczniku Kraków.

Środa

"No i już czas, żeby wyrzeć przez okno", powiada Janusz Głowacki w rozdziale Widok z okna w tomie autobiograficznych zapisków Z głowy. I wygląda, przez jedno z pięciu. Tyle jest okien w jego pokoju na Manhattanie w Nowym Jorku. Trzy wychodzą na Sto Pierwszą ulicę - w oddali da się zobaczyć rzekę Hudson. Dwa ostatnie - na West End Avenue, gdzie synagoga, a za nią - zarysy wieżowców Broadwayu... Sto Pierwsza? Rzeką? West End? Drapacze? Synagoga? Broadway...? Te duże "rzeczy" - są raczej bez znaczenia. Mniejsza z nimi. I mniejsza z dużymi "rzeczami", co tkwiły za jednym jedynym oknem pokoju Głowackiego w Warszawie, przy Bednarskiej. Przez to okno, przez okno na Manhattanie, przez inne okna gdziekolwiek - Głowacki łowił "rzeczy" małe, w których jest jakiś niepokój, co może stać się początkiem opowieści - noweli, dłuższej prozy, jednoaktówki - lecz może też pozostać niemym, przelotnym niepokojem. Niepokój? Tylko to? Nie. Równie dobrze chodzić może o przelotny ciepły żart przez kogoś innego zanotowany, a później na scenie pokazany. Na przykład - na Nowej Scenie Narodowego Starego Teatru.

Czwartek

Przez zupełnie inne okno albo wcale nie tak bardzo inne, przez okno dużej sceny Michał Buszewicz patrzył długo na krzątające się tam - kiedy widownia jeszcze pusta albo kiedy scena wyciemniona w krótkich chwilach zmiany dekoracji w trakcie biletowanego seansu - postaci ciche, bezszelestne, znikające. Maszyniści teatralni, bez których nie byłoby żadnych cudów wieczornych. Patrzył Buszewicz na te bezcenne małe "rzeczy", co dobrze wiedzą ile waży Hamlet, jak szaleńczo trzeba się namęczyć, by ruszył las Birnam i jak męczący jest reżyser X, zawsze wymyślający triki inscenizacyjne, których nie da się wykonać, lecz które jednak trzeba będzie wcielić w życie, i to na wczoraj. Długo podglądał przez wielkie okno ich wiecznie nieoficjalne istnienie, ich dozgonną anonimowość, ale też ich solidną namacalność, konkretność, moc - i w końcu wraz z nimi napisał, a następnie ulepił z nich na mikrej Nowej Scenie godzinny żart "Kwestia techniki".

Sobota

Za długo trwa w prologu taniec zastawek, niektóre sekwencje dałoby się przyciąć, zdynamizować, filigranowość wyświetlanych na ścianach wierszyków haiku im nadać. I to czyniąc, w ogóle całość jakoś delikatnie zgniatając - dałoby się godzinę tę do 40 minut skurczyć bez większego bólu, bez fundamentalnych strat, tym samym na mięsistości żartu zyskując - lecz przecież i tak jest... Jak właściwie? Zdumiewająco lekko, zachwycająco bezpretensjonalnie. To ostatnie - najważniejsze. W żarcie "Kwestia techniki" brak nawet cienia pretensji do koturnu filozoficznego, psychologicznego, moralnego, jakiegokolwiek innego. Buszewicz maszynistów teatralnych na scenę wyciąga i w pełnym świetle ich stawia nie po to, by biadać nad ich anonimowym losem, by widza skłonić do zadumy nad ciężką pracą maszynistów albo by, Boże uchroni!, katować nas napuszonym estetycznym traktatem o iluzji krwi, potem, łzami i do granic wytrzymałości naprężonymi

mięśniami podszytej, czyli o tym, że sztuka wymaga ofiar cielesnych, amen. Nie. Patrząc przez wielkie okno dużej sceny Buszewicz dostrzegł przedziwną, pastelową, dyskretną melancholię anonimów, co przez życie całe przewalają w cieniu tony iluzji, a także dostrzegł, że zajęcie to w sumie bawi ich setnie. Że dystans mają wielki, ironiczny, ciepły tak do eterycznych kapłanów Melpomeny, dzielnie człapiących korytarzami do bufetu na mielonego z kapustą, jak i do wszystkich tych zamków ze sklejki, tekturowych komnat i kamienic ze styropianu. I właśnie dystans ten jest w żarcie "Kwestia techniki" najbardziej ujmujący.

Poniedziałek

Panowie Jarosław Majzel, Janusz Rojek i Mirosław Wiśniewski - autentyczni w Starym Teatrze maszyniści i autentyczni u Buszewicza aktorzy, grający siebie, maszynistów, co się za pomocą słów świetnie bawią sobą, swoim fachem, od odzieży roboczej poczynając, a na krzepie kończąc - panowie ci czują się na scenie tak, jakby bułkę z masłem jedli o poranku, mając świadomość, że do roboty iść nie muszą, bo urlop właśnie zaczęli. Całkowita lekkość bycia. Spokój krystaliczny. Ani włos nerwowości, cienia paniki, śladu zawstydzenia. Nic, tylko naturalna swoboda i spokój twarzy oraz dykcji. W każdym razie spokój twarzy i dykcji znacznie większy niż u dyplomowanego aktora Zygmunta Józefczaka, który pod koniec zjawia się na scenie, by spróbować być przez chwilę teatralnym maszynistą. Po trzech amatorach widać wyraźnie, że wieloletnie przebywanie za kulisami i patrzeć przez szpary ciemnych kotar na wijących się po scenie kapłanów Melpomeny nie poszło na marne. Majzel, Rojek i Wiśniewski dziś już dobrze, bardzo dobrze wiedzą, czego na scenie robić nie należy mianowicie.

Piątek

"Rzeczy" małe za oknami w którymkolwiek punkcie globu. Maszyniści teatralni w Krakowie. Siwy bezdomny Murzyn śpiący na chodniku w Nowym Yorku. O zmierzchu nerwowy krok mężczyzny w kapturze na głowie, mężczyzny w jakimś mieście sunącego za bardzo młodą kobietą. W cieniu wieżowców dziadek ciągnący platformę do przewożenia mebli, na której ogromny i bardzo stary pies już wie, że to koniec. Albo widziana przez okno w domu naprzeciwko awantura pięciorga dorosłych. Albo robotnik ekipy remontowej rano idący do roboty z pętem kielbasy w lewej i flaszką gorzały w prawej kieszeni. Albo Japończycy w trakcie rozwijającego się oficjalnie Konkursu Chopinowskiego - zmierzch w zmierzch masowo i zwawo sunący nieoficjalnie do jednej z warszawskich agencji towarzyskich. Albo wreszcie samotny człowieczek, co lęka się do domu wrócić, bo wprowadzić nic złego nie uczynił, ale to dla jego żony nie jest żadne usprawiedliwienie, to jest dla niej kolejny... Nie znęcajmy się nad skulonym człowieczkiem. Z którego okna patrząc, Głowacki dostrzegł jego zabawną marność?

Niedziele

Pomieszałem w piątek fikcję z realnością. Który widok jest prawdą, a który zmyśleniem? Nieważne. Istotne, że z czterech widoczków Głowacki wysnuł cztery jednoaktówki. Kobieta i zakapturzony facet - "Spacer przed snem". Awantura w domu naprzeciwko - "Konfrontacja". Robotnik z aprowizacją, a raczej on z kolegą po fachu konsumujący i gawędzący w przerwie obiadowej - "Kącik mieszkaniowy". Skulony człowieczek, w rozmowie z żoną obijany jej szyderstwami niczym kucyk batem - "Choinka strachu". I te właśnie jednoaktówki Józef Opalski w teatrze Barakah wyreżyserował, pozwalając Sebastianowi Obercowi, Marcelowi Wiercichowskiemu, Barłomiejowi Kwiatkowskiemu, Aleksandrze Konior oraz Katarzynie Chlebny wcielać się przez dwie godziny w wiele anonimowych figurek, które Głowacki kiedyś być może zobaczył, wyglądając przez okno, i które na mgnienie pojawiają się w kadrze seansu, by rozegrać

swoje z miłości i tęsknot ulepione gierki, a później zniknąć tak nagle i bez śladu, jak nagle i bez przyczyny się zjawiały. Jak każdy.

Wtorek

Drobny żart sceniczny w Starym Teatrze, w teatrze Barakah cztery drobne migawki z życia byle jakiego - a w każdym z tych miejsc, w każdym z tych seansów, podobny rodzaj melancholii dyskretnej, cierpkiej i w ostatecznym rachunku uśmiechniętej. No i tak w Starym, jak w Barakah ta sama dobra niechęć do moralizowania, pouczania, filozofowania i wszelkiej maści kaznodziejstwa. W obu porównywalnie małych oknach sceny - identyczna odmowa naprawiania świata za pomocą iluzji. Słowem, w dwóch miejscach - ulga wielka.